

Ratujmy Irka!

Data publikacji: 22.11.2016 14:15

Za górami, za lasami żyło sobie szczęśliwe małżeństwo. Małżeństwo, które kochało się miłością ogromną, które oddałoby życie za siebie. Mimo początkowych trudności zwyciężyło wiele przeszkód. Potem mieli dzieci... troje...i żyli długo i szczęśliwie... ups... to nie ta bajka... Moja bajka nie skończy się szczęśliwie...

Moja bajka kończy się niczym najgorszy koszmar. Nie będzie happy endu. Moje słońce zgaśnie i nastanie ciemność. Czym ukoić mój ból? Jak śmiać się przez łzy? Jak być silną, gdy sił już brak? To takie trudne nie móc zapłakać w czyich ramionach. To takie trudne nie załamać się, by on się nie załamał. Tyle we mnie smutku i goryczy i cholernej bezsilności. Dlaczego? Dlaczego dobrych ludzi spotyka to, co najgorsze? Wiem, życie nie jest proste i nikt nie mówi, że będzie łatwo, ale nikt też nie mówi, że będzie aż tak trudno. Lepiej było nie kochać, by nie cierpieć jak się traci.

Kiedy prawie pięć lat temu dowiedzieliśmy się, że mąż choruje na raka nerki, pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy to ŚMIERĆ. Dlatego mój synek nosi to samo imię, co jego tata - życie za życie. Tak, kilka dni po diagnozie choroby męża dowiedziałam się o ciąży. "Jedno się kończy, drugie się zaczyna", te słowa od pięciu lat tkwią w mojej głowie, czasem na moment cichnąc, by potem wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Tak, jak choroba, tak, jak rak. Zawsze żyłam ze świadomością, że to się kiedyś zdarzy, przygotowywałam się na tą chwilę przecież pięć lat, ale rak początkowo dał się okiełznać, leki na moment zatrzymały jego progresję. Nadszedł czas, kiedy otrzymaliśmy wyniki badań, z których wynikało jasno, że leki przestały działać, a rak rośnie w siłę. Zaczęliśmy kolejną walkę, z kolejną chemioterapią, tym razem ostatnią z możliwych. Kilka bitew udało nam się wygrać, niestety wojna jeszcze przed nami.

Rak nerki jest nieuleczalny, nie ma na niego chemioterapii, która potrafiłaby go cofnąć. Można jedynie próbować go uspić na jakiś czas, czyli inaczej mówiąc, przedłużyć życie o te kilka miesięcy. Czekał nas kolejny lek, niestety już nie tak silny jak ten, który przestał działać, o ile w ogóle działał, bo coraz częściej myślę, że to po prostu tak miało być, że mąż sam sobie z tym rakiem poradziłby lepiej. Tylko tak trudno podjąć decyzję o zaprzestaniu chemioterapii, bo tonący brzytwy się chwyta. Wierzyliśmy więc ślepo lekarzom, a teraz, po tych latach, wiem, że można było zrobić coś więcej, to co robimy teraz. Niestety nieświadomość i chory system sprawił, że nie uwierzyliśmy wtedy w leczenie naturalne. A może tak było prościej? Zdać się na "doświadczenie" lekarzy. Są dwa leki przedłużające życie, każdy działa określoną ilość czasu. Sutent działał ponad rok, potem drugi, ostatni... Mowa tu o leczeniu standardowym...

Mam 38 lat i jeszcze sporo przede mną, a słońce mojego życia gaśnie. Można by powiedzieć "musisz wierzyć" - wierzę, już pięć lat, ale widocznie za słabo. Można by powiedzieć - "musisz być silna" - tylko jak być silną, kiedy koło mnie ciągle jest ŚMIERĆ, ŚMIERĆ, ŚMIERĆ. Jestem jednak silna z pozoru, dla niego i dla dzieci. Czasem płaczę pod prysznicem, żeby nikt nie zobaczył mojej słabości. Przez te lata, tylko jeden raz pozwoliłam sobie na chwilę słabości przed mężem, było to trzy lata temu, kiedy zabierali go na operację zmian na płucach, tylko ten jeden raz pokazałam mu, że się boję. Ja się na prawdę bałam, bałam się, że widzimy się ostatni raz. Prosiłam nawet wtedy lekarz, żeby termin operacji wyznaczył po pierwszych urodzinach synka, żeby mąż mógł jeszcze na ich być. Tak bardzo go kocham i tak strasznie się boję. Dlaczego Bóg zesłał mi tego człowieka, a teraz powoli mi go zabiera?

W czerwcu tego dowiedzieliśmy się, że ten cudowny lek, który był ostatnią deską ratunku nie zadziałał i od tego dnia mąż został pozostawiony sam sobie. Przerzuty raka nerki do płuc zrobiły się jeszcze większe. Nic nie da się już zrobić... z punktu widzenia lekarzy. Są jednak skuteczne, naturalne metody leczenia nowotworów, są to wlewy (kroplówki) z ogromnych dawek witaminy c, dożyłnej, laminina, zastrzyki z jemioly - silniejsze niż chemioterapia, niszczenia raka wysoką temperaturą. My ograniczyliśmy się do minimum, do witaminy c dożyłnej, (ostatnio udało się też zamówić lamininę za 5900 zł i zakupić szczepionkę na raka, zrobioną z krwi męża za 2700 zł) bo nigdy nie udało nam się zebrać na inne jeszcze możliwości. Już same zastrzyki z jemioly to koszt za całą kurację około 15 tysięcy złotych, a niszczenie raka wysoką temperaturą to kolejne 18 tysięcy złotych. Nigdzie witaminy nie refundują, ani nigdzie nie przepisują na receptę. Jest podawana, ale prywatnie. Na dodatek musimy sprowadzać ją z Niemiec.

Miesięczny koszt takiej kuracji to 4 tysiące – 5 tysięcy. Leczenie nie kończy się na jednym miesiącu, a dopiero po czterech można zobaczyć efekty. Dla nas jest to koszt nie do udźwignięcia...

Ktoś, kiedyś powiedział, że zdrowie jest ważniejsze od pieniędzy, a ja coraz bardziej się przekonuję, że to dzięki pieniądzom ma się zdrowie.

Osobiście znam cztery osoby, które wyleczyły się całkowicie z nowotworu dzięki witaminie c, a szczepionka wyleczyła także kilka osób mi znanych. Dlatego proszę Was, pomóżcie nam, dajcie mojemu mężowi życie, a naszym dzieciom ojca.

Kochani, to dla mnie strasznie trudne... prosić o pieniądze, ale inaczej nie dam rady zorganizować mężowi leczenia witaminą c, nie na tyle miesięcy. O innych metodach nie śmiem nawet marzyć.

Tak swoją historię opisuje Joanna Balcar, żona chorego na raka Ireneusza, dla którego niedawno w Skoczowie odbył się koncert charytatywny ([Koncert charytatywny dla Ireneusza Palinkera](#)).

Jeśli chcecie pomóc – bądź licytując jakiś przedmiot, bądź przekazując coś na licytację – wejdźcie na stronę na Facebooku [Ratujemy Irka - Ostatnia szansa](#) Na tej stronie można zalicytować dowolny przedmiot lub skontaktować się z Panią Joanną.

red.